

Teksty Drugie 2000, 1-2, s. 7-24



Jeden dzień w socrealizmie

Jacek Łukasiewicz

Jacek ŁUKASIEWICZ

Jeden dzień w socrealizmie¹

Socrealizm był metodą postrzegania i interpretacji świata w dziełach sztuki. Sztuka w myśl leninowskiej zasady w szczególnie sposób odbija świat, ale nawet prawidłowe, najprawidłowsze odbicie obiektywnej rzeczywistości nie jest tym samym, co sama obiektywna rzeczywistość.

Szukając w poetyce tamtej epoki wzorca gatunkowego dla mojego tekstu, znalazłem prasówkę. Prasówki pisało się i wygłaszało w szkołach, uczelniach, fabrykach i biurach. Tworzyły kontekst pomagający słuchaczom właściwie interpretować własny dzień bieżący, wyznaczać słuszny kierunek działania.

Jeden dzień w socrealizmie to dzień spędzony w odbiciu. Dzień czytelnika (słuchacza, widza). Z różnego rodzaju podsuwanych mu tekstów zespalał on sobie tekst własny. Rekonstruuje – nie w pełni oczywiście – jeden z takich możliwych tekstów własnych, powstałych 14 listopada 1951 r. we Wrocławiu. Przede wszystkim rekonstruuje go na podstawie lektury czasopism, jakie mieszkaniec Wrocławia dnia tego czytał, a może raczej przerzucał. Wydał 45 groszy, nabywając dzienniki lokalne: „Słowo Polskie” i „Gazetę Robotniczą” oraz centralny – „Trybunę Ludu”. Każdy z nich miał zaledwie cztery strony, ale nawet lektura owych dwunastu stron, jak zawsze lektura gazet, musiała być wyrwykowa, oparta na przyzwyczajeniu i przypadku. W pewnym stopniu wpływał na nią układ gazety: łamanie, tytuły, wyróżniki graficzne itp. Czytelnik ów nie oddawał się tego dnia lekturze książek, poszedł natomiast do teatru i miał w bliskiej pamięci tygodniki nabyte przed paroma dniami (noszące datę 11 listopada): „Przekrój”, „Nową Kulturę”, zajrzał też do „Tygodnika Powszechnego”. Skromny to zestaw tekstów, ale i dzień był roboczy.

^{1/} Artykuł ten powstał w ramach projektu badawczego nr 1 H01C 06010 (Komitet Badań Naukowych).

Szkice

Poranek wstawał mglisty. Temperatura zbliżała się do zera. Środa 14 listopada 1951 r. Józefata. Słońce weszło o godzinie 6.53. Zachód słońca o 15.47.

Wcześniej ołówce cenzora nie zatrzymał się przy Józefacie, męczenniku-unicie z zabronionego obrządku. Józefat dla cenzora był tylko imieniem, niezwykle rzadkim, politycznie neutralnym. I tym również pozostał dla naszego czytelnika.

Walka tego dnia toczyła się na paru frontach jednocześnie. Zgodnie z wymogami strategii – należało jednak znaleźć decydujące ogniwo, tam koncentrować wysiłki. 14 listopada 1951 roku głównym frontem – jak wynika z ówczesnych gazet – był front skupu. „146 powiatów wykonało już 65 procent rocznego planu dostaw zboża” (GR, 1)². Mimo to skup przebiegał nie do końca pomyślnie. I w zastraszającej się walce klasowej tak być musiało.

Zaledwie parę dni wcześniej rozegrał się jeden z wielu przykładowych dramatów – przykładowo w „Słowie Polskim” opisany przez Hannę Hoffmanową, z nazwiskami wrogów, bohaterki pozytywnej i z nazwiskiem głównej, wahającej się postaci, o której duszę stoczono dramatyczną, lecz zwycięską potyczkę.

Tytuł reportażu jest wielocłonowy: „Po zdemaskowaniu kułaków // GROMADA RUJA // rozpoczęła nowe życie. // Gdy żołnierz spod Lenino zaplątał się w sidła kułackie, chłopci pracujący przypomnieli mu o jego obywatelskich obowiązkach”.

Gromada nie dostarczała „zboża i ziemniaków na punkt skupu oraz w uiszczaniu zobowiązań finansowych wobec państwa wlokła się na szarym końcu”. Nie było oczywiście dostaw zbiorowych. „Czasami tylko zaturkotała na drodze samotna furmanka, wioząc dwa, trzy metry ziemniaków”. Rolnik Adolf Dąbrowski, bohater spod Lenino, którego rodowód klasowy i życiorys predestynowały do roli rzecznika postępu, został w gromadzie Ruja omotany sieciami kułackiej kliki: rzeźnika Jana Żółcińskiego („właściciela intratnej jatki”), byłych przedwojennych policjantów („pachołków reżimu sanacyjnego”) Smolkiewicza i Molendy.

Dąbrowskiego kolegium w Legnicy ukarało za „złośliwe sabotowanie rozporządzeń w sprawie dostaw ziemiopłodów”. Kolegia były od szybkiego i sprawnego karania. Prawdziwa walka o dusze odbywała się w czasie zebrzań. Toteż Dąbrowski „zły jak gradowa chmura, po otrzymaniu zasłużonej kary” przybył na zebranie w macierzystej gromadzie Ruja. Skarżył się wpieryw, że karzą go, nie pomnając zasług. Ale prowadząca zebranie zastępczyni pełnomocnika do spraw skupu na powiat legnicki, Genowefa Pątlicka, córka małorolnego chłopca z rzeszowskiego, z dzieciństwa jeszcze dobrze znała wykręty bogaczy wiejskich. Paroma celnymi pytaniami zdemaskowała podlegających wrogów – rzeźnika i policjantów. Przekonanemu przez nią równie trafnymi pytaniami i wezwaniami Dąbrowskiemu „łuska spadła z oczu”.

^{2/} Dla lokalizacji cytatów używam w tekście następujących skrótów: SP – „Słowo Polskie”, GR – „Gazeta Robotnicza”, TL – „Trybuna Ludu”, wszystkie dzienniki z 14 listopada 1951 r.; NK – „Nowa Kultura” nr 45, TP – „Tygodnik Powszechny” nr 45, P – „Przekrój” nr 344, wszystkie tygodniki z 11 listopada 1951 r.; cyfra po skrócie tytułu oznacza numer strony.

Łukasiewicz Jeden dzień w socrealizmie

I nastąpiło szczęśliwe zakończenie: „Wśród ogromnego entuzjazmu uczestnicy zebrania gromadzkiego ustalili termin zbiorowej dostawy zboża na poniedziałek dnia 5 listopada, a ziemniaków na wtorek, czyli 6 bm.

Molenda, Smolkiewicz i Żółciński chyłkiem opuścili sałę.

Dzień 5 listopada wstał jasny i pogodny. Od samego ranka drogą ciągnął wąż furmanek ze zbożem. Gromada Ruja powiatu legnickiego rozpoczęła nowe życie” (SP, 4).

Krótki reportaż opowiadał o tym, co dokonało się przed kilkoma zaledwie dniami. Gromada Ruja nie została wymyślona, istniała i nadal istnieje³. Dramaturgia wydarzeń jest w tym utworze bez zarzutu, rozkład cieni i blasków właściwy. Autorka tego tekstu miała za sobą powieść opublikowaną w 1934 roku, a przed sobą m.in. *Panie na Wilanowie* i biograficzną gawędę o Staszicu, *Pucharek ze srebra*. Jej twórczość pójdzie tedy w innym kierunku. Mistrzowski reportażyk w „Słowie Polskim” był ziarnem n o w e g o, płodną, wziętą z rzeczywistości matrycą – wycinkiem z życia i modelem utworu literackiego. Był formą zamkniętą: z umiejętnie wplecioną redakcją, dobitnym finałem.

Na tej samej czwartej stronie „Słowa Polskiego” czytelnik znajdował trzysta siódmy odcinek *Lalki* Bolesława Prusa.

Reportaż z gromady Ruja stanowił szkic do stojącego się eposu: dyrektywy lektury wskazywać miał czytelnikowi epicki utwór realizmu krytycznego. Z 307. odcinkiem *Lalki* współbrzmiał tego dnia repertuar teatralny. We wrocławskich teatrach bowiem 14 listopada 1951 roku grano samą klasykę: w Polskim *Skapca*, w Kameralnym – *Glupiego Jakuba*, w Teatrze Młodego Widza – *Rozbitków*, w operze – *Bunt żaków*. Można było wybierać między Molierem, Blizińskim, Rittnerem i współczesnym wprawdzie, ale podejmującym temat historyczny, Szeligowskim.

Na ewentualne pójście do teatru jeszcze był czas. Czternasty listopada dopiero się zaczynał. Z głośnika płynęły pieśni. Reportażowi o gromadzie Ruja akompaniowały doniesienia napływające od korespondentów robotniczych i chłopskich, a także z właściwych instancji oraz urzędów. Na pierwszej stronie „Gazety Robotniczej” (organu wrocławskiego KW PZPR) podawano nazwiska chłopów wywiązujących się, ale także liczne nazwiska tych, co nie wywiązali się z dostaw obowiązkowych. Dalej korespondent robotniczy z Pafawagu, Izydor Wiznek, donosił na odpowiedzialnych za propagandę wizualną w swej instytucji i na pracownika Franciszka Wilgę, którego podobizna – z odpowiednim pochwalnym podpisem – wciąż wisiała w rozsyhajającej się gablocie (większość fotografii innych pro-

^{3/} Nazwa Ruja powstała z niemieckiej nazwy tej miejscowości, Royn – o bardzo niejasnej etymologii. Podejrzewano słowiański źródłosłów. Komisja Urzędu Rady Ministrów „ustaliła tę nazwę, choć nie ma ona oparcia w podobnych nazwach miejscowych, a wyraz r u j a = «czas i miejsce ryku jeleniego» nie może wchodzić w rachubę. Raczej należało sięgnąć do typowego wyrazu prasłowiańskiego r o j = polski r ó j, ale w innych językach słowiańskich oznaczającego «r ó d ł o»” (S. Rospond *Słownik etymologiczny miast i gmin PRL*, Wrocław 1984, s. 333). Informację tę zawdzięczam p. prof. Bogdanowi Sicińskiemu.

Szkice

downików zniknęła). A Wilga tymczasem przestał przodować. „Załoga, która wie, że sprawa Wilgi-bumelanta została skierowana do sądu, że zostanie on ukarany za nieprzestrzeganie dyscypliny pracy, ma uzasadnioną pretensję do rady zakładowej, która się tą gąbłką opiekuje” (GR, 3).

Kolegia i sądy należały do aparatu represyjnego (przy czym samo skierowanie sprawy było dla korespondenta robotniczo-chłopskiego równoznaczne z uznaniem winy), prasa zaś należała do aparatu propagandowego. Czytający bał się – i powinien był bać się – represji, ale w trakcie lektury podlegał perswazji.

Szedł do pracy, bywał przodownikiem albo sabotażystrą, lecz najczęściej ani jednym, ani drugim, miewał tylko trudności z wykonaniem norm i zadań. Wtedy mógł skorzystać z metody inżyniera Kowalowa, właśnie – jak donosiła tego samego dnia „Gazeta” – „przeszczepianej na nasz grunt”. Analizuje się działania najlepiej pracujących i „wybrane, najlepsze czynności kilku przodowników powinny być przekazywane tym, którzy zadań nie wykonują. [...] Na tym właśnie polega metoda inż. Kowalowa, która może być stosowana w każdym zawodzie, w każdym przemyśle, przy każdej czynności” (GR, 3).

W „Słowie Polskim” zachęcano do nauki rosyjskiego, podając we właściwej kolejności właściwe motywacje:

Poznanie języka rosyjskiego otwiera przed nami perspektywy zapoznania się z najwspanialszą literaturą świata, literaturą, która jest natchnieniem dla setek milionów walczących o wolność i przebudowę świata. Chcemy czytać Szołochowa, Polewoja, Erenburga, Tołstoja w języku, w jakim pisali swe dzieła. [...] Jako patrioci polscy pragniemy poznać język, w jakim zredagowana była wiekopomna deklaracja przekreślająca rozbiory. Chcemy znać język, jakim mówili nasi sprzymierzeńcy spod Lenino, oswobodziciele Warszawy, Gdańska, Kołobrzegu, Szczecina.

Uczmy się więc języka rosyjskiego, bo obowiązkiem każdego człowieka postępu jest znać język, jakim przemawia wódz całej postępowej ludzkości, wielki przyjaciel Polski – Józef Stalin. [SP, 4]

Był to zarazem uderzający celnością i zwięzłością (godną pióra zasłużonego autora – Zbigniewa Grotowskiego, wytrawnego i skądinąd zasłużonego dziennikarza i felietonisty) krótki kurs przyjaźni polsko-radzieckiej.

W listopadzie 1951 każdy mieszkaniec Wrocławia, mający więcej niż dziesięć lat – pamiętał wojnę. Gazeta nie musiała szczególnie odwoływać się do tej pamięci. Uświadamiała czytelnika (albo utwierdzała go w przekonaniu), iż żelazna kurtyna – możliwa jednak do zdruzgotania atomową bronią – dzieli nas od potencjalnego pożaru, który tam po drugiej, złej stronie stale grozi wybuchem i rozprzestrzenieniem, także na nasz teren. A czy i u nas nie było zwolenników wojny? Walka o pokój przecież i tutaj się toczyła. Kurtyna przy tym nie mogła być w pełni szczelna, nie zabezpieczała przed wszystkimi jadami – ani w czasie, ani w przestrzeni.

Kto dysponował radiem, zwłaszcza radiem dawnym, przedwojennym, poniemieckim, solidnym – mógł 14 listopada szukać w nim obcej rozgłośni. „Słowo”

Łukasiewicz Jeden dzień w socrealizmie

drukowało przekazaną przez agencję *Piosenkę o mrzonkach wojennych* pióra Mariana Załuckiego:

Ma Bęc-Walski w mieszkanku
Taki jeden pokoik,
w którym miły wojenny
wciąż panuje nastróik...
Superhetorydyna
tu Amerykę łapie,
żonka superhetera
nowe plotki tu papie.
Wiadomości są różne –
to zależy od dzionka:
Czasem radio ma lepsze,
czasem lepsze ma żonka...
Lecz na ogół się zgadza,
konweniuje i gra,
więc nadzieję, nadzieję
się ma...!

[SP, 3]

Wierszyk Załuckiego wprowadził nas na terytorium trudne i niebezpieczne.

Słuchając imperialistycznych rozgłośni lub szeptanej propagandy, znajdujemy się w kręgu nie przez nas, lecz przez wroga o k r e ś l o n y c h źródeł informacji. Przywołanie Bęc-Walskiego, powszechnie znanej postaci z ilustrowanego tygodnika – nie było jednoznaczne. Kim był Bęc-Walski? Jak wspomina Kazimierz Koźniewski, w projektowanym przez Eilego jeszcze w czasie wojny piśmie rozrywkowym (późniejszym „Przekroju”) obok m.in. teatryku z absurdalnym humorem (skonkretyzowanym potem w „Zielonej Gęsi”) „miała być i seria rysunków o głupawym faceciu, odstającym od swego czasu... Zawsze będą tacy głupawi faceci, bez względu na czasy. I był to pomysł na Bęc-Walskiego. Potem, w Krakowie już, w czasie zupełnie nieapolitycznym, znaleźli się Charlie-Ferster i narysował figurkę Bęc-Walskiego, do której on sam najrzadziej, a cały zespół redakcyjny najczęściej układał podpisy”⁴. Była tedy w Bęc-Walskim podwójność. Należał do figur z „Przekroju”, jak Karakuliambro, pies Fafik czy Kociubińska, i tak należąc, był postacią humorystyczną. Znaczące nazwisko pochodzi od słowa „bęcwał”. Z „bęcwała” można się śmiać, można nim pogardzać, ale za bęcwałstwo ani się nie więzi, ani nie zabija. Jednocześnie wśród humorystycznych postaci z „Przekroju” ta była najbardziej politycznie-satyryczną. „Marian Eile – pisze dalej Koźniewski – wymarzył sobie pismo, które miało formę, miało nawet treść, ale nie miało ducha – bo nie ma ducha, jeżeli pismo nie posiada jakiejś swojej ideologii, jeżeli o coś nie wal-

^{4/} K. Koźniewski *Historia co tydzień. Szkice o tygodnikach kulturalnych 1944–1950*, Warszawa 1977, s. 294.

Szkice

czy i czegoś nie zwalcza. Tego ducha w projekty Eilego mieli tchnąć Borejsza wspólnie z Putramentem”⁵. Wystarczy sobie poczytać krakowską publicystykę Wincentego Bednarczuka (pseudonim Putramenta) z roku 1945, by postać „Bęc-Walskiego” – który pojawił się już w pierwszym, jeszcze wojenno-politycznym numerze „Przekroju” – w jej świetle inaczej oceniać.

W roku 1945, a jeszcze bardziej w latach 1946–1948, była to różnica stylów, które miały się przenikać, ale tak, by granica pomiędzy nimi nie stawała się nazbyt widoczna. Retoryki zachodziły na siebie, pozwalało to na substytucje i interpretacje według różnych reguł, by nie odstraszać chwiejnych, nie do końca przekonanych, a umacniać wierzących. W okresie zaostrzającej się walki klasowej w roku 1951 te dwa konteksty („Przekroju” i bezpieki) zostały rozdzielone i jakże wyraziście zwaloryzowane. Mimo wszystko jednak w Bęc-Walskim pozostało coś z postaci humorystycznej. Granica pomiędzy humorem a terrorem w satyrze przebiegała pomiędzy wierszykami Mariana Załuckiego z „Przekroju” a krwawym humorem Kukryniksów z „Krokodyla”. Często reguły lektury narzucał kontekst. Kontekst numeru gazety z 14 listopada 1951 znacznie bliższy był Kukryniksom. Słuchacz wrogiej rozgłośni, a także uprawiający szeptaną propagandę stawali się wrogami, z wszystkimi tego konsekwencjami.

Pomiędzy towarzyską plotką a „szepтанą propagandą” granicę wtedy wyznaczało zresztą doraźnie i arbitralnie. Na odbytej kilkanaście dni wcześniej naradzie poświęconej twórczości artystycznej (do tej narady jeszcze wrócimy) mówił Paweł Hoffman:

Trudno rozpoznać, gdzie i kiedy w reakcyjnej, kontrrewolucyjnej, dywersyjnej plotce, szerzonej i przez zagraniczne radio, i przez imperialistyczne ekspozytury w kraju, kolporter tej plotki jest tylko narzędziem, ciemnym kołtunem, ofiarą, która widzi rzeczywistość w sposób naturalistyczny, a gdzie występuje czynny reprezentant antagonisticznej siły, wróg klasowy. Wydobyć tę rzecz, ukazać ją trafnie, realistycznie, jest trudno. Jest to robota dająca pole do niezwykle subtelnych rozwiązań powieściowych i dramatycznych.⁶

Gdy natomiast odkryje się wroga, kończą się subtelności: „jakkolwiek jest oczywiście człowiekiem, jest jednak człowiekiem złym. Złym nie dlatego, że autor go nie lubi, ale dlatego, że służy złej sprawie. [...] kułak, spekulant miejski [...] jest to człowiek z wszystkimi namietnościami, ale jest to człowiek reprezentujący złą sprawę”⁷.

^{5/} Tamże, s. 295.

^{6/} Z przemówienia Pawła Hoffmana, kierownika Wydziału Kultury w KC PZPR, „Twórczość” 1951 nr 12, s. 21. (Inny skrót przemówienia Hoffmana przyniosła „Nowa Kultura” w numerze 45. Cytuję tekst z „Twórczości”, który jest obszerniejszy. Popętniam więc w stosunku do własnej narracji anachronizm. Jej bohater 14 XI 1951 mógł znać oczywiście tylko tekst z „Nowej Kultury”).

^{7/} Tamże, s. 20.

Łukasiewicz Jeden dzień w socrealizmie

Sytuacja międzynarodowa też się zaostrzała. Broniący pokoju rząd radziecki „powtórnie ostrzegł Norwegię przed konsekwencjami należenia do atlantyckiego paktu agresji” (SP, 1). Na Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ wiceminister Stefan Wierbłowski zadeklarował „jak najdalej idącą współpracę w realizacji programu pokojowego ZSRR” (SP, 1). Jugosławia wniosła o umieszczenie na „porządku dziennym zgromadzenia nikczemnej skargi o rzekomym niebezpieczeństwie zagrażającym Jugosławii ze strony Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej”. Jawnie prowokacyjny wniosek kraju, do którego zwozi się całe pociągi broni z Europy Zachodniej i z USA przeszedł jednak „głosami bloku anglo-amerykańskiego przeciwko głosom ZSRR i Polski” (GR, 2).

Skrót przemówienia Wierbłowskiego we wrocławskich dziennikach miał się ukazać dopiero dnia następnego. Kupując jednak „Trybunę Ludu” można było tekst ten odnaleźć. Zajmował całą kolumnę, opatrzonej piętrowym, wieloczlono- wym tytułem. Wieloczloność tytułów nie służyła w „Trybunie” uatrakcyjnieniu, ale rytuałowi: „Delegacja polska wzywa Zgromadzenie Ogólne ONZ / do poparcia konstruktywnych pokojowych propozycji ZSRR / Przemówienie wiceministra Stefana Wierbłowskiego na VI sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ” (TL, 3).

Przedrukowane w „Trybunie Ludu” przemówienie stawało się częścią naszego obrzędu. Było najważniejszym tekstem dnia, choć raczej nie przeznaczonym do zwykłego czytania, powiedzmy, w zatłoczonym tramwaju. Spełniało rolę aktualnego wzorca dla innych tekstów politycznych (a polityczne były niemal wszystkie), wypowiadanych 14 listopada 1951 i przez parę dni następnych na naradach, zebraniach, odprawach, konferencjach i masówkach wszystkich szczebli; także dla tekstów własnych umieszczanych w okólnikach, referatach i gazetkach ściennych.

Czytający przemówienie w „Trybunie”, przez sam fakt lektury uczestniczył w obrzędzie. Nie wymagano przy tym od niego – w związku z tym – innej aktywności. Ale z następną wiadomością z pierwszej strony już było inaczej. „Związkowcy polscy protestują / przeciw terrorowi w Grecji”. Prokurator Sądu Wojskowego w Atenach zażądał kary śmierci dla Belojanisa i jego towarzyszy. „W licznych depeszach do Przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego ONZ związkowcy polscy, załogi zakładów pracy protestują przeciwko grożącemu patriotom greckim wyrokowi śmierci” (TL, 1). Czytelnik – można przypuścić z dużym prawdopodobieństwem – tego dnia lub któregoś z dwu lub trzech poprzednich też wziął udział w masówce w swoim zakładzie pracy, w czasie której, po odczytaniu rezolucji przez towarzysza z dzielnicy lub z WRZZ-tu, zawołał „precz” i „niech żyje”, po czym wrócił do roboty. Notatka owa dotyczyła go tedy osobiście, inaczej niż sąsiadujące z nią komunikaty.

Wojna koreańska, sojusz atlantycki, bezczelność Titowskiej Jugosławii i wyrażenie wzmocniona pokojowa siła ZSRR po uzyskaniu broni jądrowej – wszystko to wyznaczało sytuację międzynarodową. Przyczyniało się też do złożonej sytuacji gospodarczej w Polsce. Po ostatecznym w czasie procesu Tatara – Kirchmayera – „obnażeniu wrogiej, kontrrewolucyjnej istoty gomułkowszczyzny jako kliki burżuazyjnych nacjonalistów, dążących faktycznie do zwyrodnienia władzy ludowej,

torujących drogę restauracji kapitalizmu w Polsce” i prących do „unicestwienia zarówno niepodległości Polski, jak i wszystkich zdobyczy ludu pracującego”⁸ – stosunki polsko-radzieckie mogły już być równoprawne i bez niedomówień. Określił to w swoim przemówieniu w ONZ Wierbłowski:

Nasze stosunki ze Związkiem Radzieckim są stosunkami nowego typu. Te formy współpracy mogłyby się stać wzorem dla innych. Jest to przykład właściwie pojętych stosunków między państwami, a w szczególności między wielkim mocarstwem a państwem mniejszym, stosunków opartych na zasadzie pełnego równouprawnienia, poszanowania suwerenności, uwzględnienia wzajemnych interesów i przyjacielskiej pomocy. [TL, 2]

Korespondowały z tym tekstem wskazówki dotyczące motywacji uczenia się języka rosyjskiego w przytoczonym wyżej felietonie i różne inne informacje w gazetach. W „Trybunie Ludu” na przykład w nonparelowej rubryczce „Ze sportu” umieszczono zaledwie trzy notki, wszystkie o sportowcach radzieckich: 1. „Piłkarze Dynamo w Krakowie”; 2. „Sztangiści radzieccy wyjechali do Moskwy” [z Polski, bo przebywali u nas z okazji Miesiąca Poglębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej]; 3. „Na szachowych mistrzostwach ZSRR” (TL, 3).

Oprócz gazet były tygodniki – czytane i interpretowane według ideologicznie-politycznego paradygmatu wyznaczonego przez gazety. Gazety były bowiem podstawą właściwie dialektycznie uformowanej i politycznie zorientowanej świadomości. Stanowiły właściwy klucz do innych lektur i działań.

Jednym z tygodników był „Tygodnik Powszechny”. Czterdziesty piąty jego numer z 11 listopada przynosił teksty anachroniczne i niezrozumiałe. Główne w nim artykuły: Przemysława Mroczkowskiego *Przeżycie liturgii*, Aleksandra Bocheńskiego *Po lekturze Toynbeego* i anonimowe *Zdobycze nowoczesnej chirurgii* – niemal nie korespondowały z rzeczywistością. Z liturgią rzymskokatolicką czytelnik spotykał się bezpośrednio, o ile tkwiły w nim religianckie przeżytki, albo pośrednio, o ile przeżytki w nim nie tkwiły. Historiozofia Toynbeego była odległa od rzeczywistości materializmu historycznego, choć ujmowała dzieje jako spór wielkich cywilizacyjnych formacji.

Artykuł o paryskim kongresie chirurgów prawdopodobnie został zamieszczony w miejsce materiału zdjętego przez cenzurę (to było wtedy w „Tygodniku” na porządku dziennym). Z nowości zademonstrowano wówczas w Paryżu m.in. sztuczne serce i płuca oraz elektroencefalograf. W artykule podkreślono wartość współpracy uczonych o różnych światopoglądach. Wymieniając ich nazwiska zaznaczano od uczonych rosyjskich, choć z kontekstu wynikało, że w Paryżu nie grali oni głównych ról.

O skupie i dostawach obowiązkowych nie ma w tym numerze ani słowa.

„Tygodnik Powszechny” był pismem najwyraźniej stojącym po stronie starego. Tolerowanym na wąskiej granicy pomiędzy konfliktami nieantagonistycznymi, w których nie stosuje się represji bezwzględnej, a antagonistycznymi, które takiej

^{8/} W dwa lata po III Plenum KC PZPR, „Trybuna Ludu”, 16 XI 1951, s. 3.

Łukasiewicz Jeden dzień w socrealizmie

represji wymagają. (Kwestia konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych była jesienią 1951 żywotna, jeszcze – a stanie się to niedługo – nie została rozstrzygnięta najwyższym orzeczeniem).

Religiancki „Tygodnik Powszechny” wydawany przez Kurię Metropolitalną Krakowską – nie był pismem naszego obozu, ale „Przekrój” do naszego obozu należał. Wcześniej nastawiony na przyciąganie wątpiących, przybierał teraz coraz wyraźniejszy charakter „prasy nowego typu”, choć starał się zachowywać swoją specyfikę. W numerze z 11 listopada pisano o skupie; na stronie drugiej zamieszczono cztery dotyczące skupu fotografie z podpisami, zajmują one 1/2 kolumny, a więc zaledwie 1/32 szesnastostroniowego czasopisma. Na rozkładówce wydrukowano duży reportaż Kazimierza Koźniewskiego o imporcie ziemniaków z NRD – ze zdjęciami autorstwa Romana Burzyńskiego.

Jeszcze jeden transport! Uśmiechają się wszyscy – i niemiecki kolejarz Erich Tusche, i polski – Kazimierz Smolarek, i fitopatolog Karol Kargoł, i inspektor z Polcargu Brunon Borowski, i szef ekipy Hartwiga, Edward Leszczyński, młody tokarz z Poznańskich Zakładów Stalina, absolwent kursu Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Uśmiechają się wszyscy radośnie na myśl o śląskim górniku, któremu nie zabraknie ziemniaków na zimę mimo nieurodzaju spowodowanego suszą. I na myśl o robotniku rolnym w NRD, który już teraz – dopiero teraz! – dobrze wie, dla kogo i po co zbiera, przygotowuje, ładuje kartofle do transportu. Dla swojego polskiego towarzysza, bojownika tej samej sprawy: sprawy pokoju, przyjaźni narodów, socjalizmu. [P, 9]

Jest to tak infantylnie, że mieści się poniekąd w lekkim, żartobliwym stylu „Przekroju” (słowo „ironia” byłoby tu jednak mylące).

„Lucynka i Paulinka” (w stałej bardzo popularnej rubryce) rozmawiając o niesolidności i solidności za przykład wprawdzie biorą terminowe napisanie felietonu do gazetki ściennej, aby ją można było na czas wywieść – lecz same są postaciami w innym niż ówczesne gazetki ściennie stylu. Apolityczny dowcip na ostatniej stronie: robiąca sweter na drutach w tramwaju mierzy go na plecach zaczytanego współpasażera. Zmieniły się jednak reguły lektury niewinnie absurdalnych żartów. Przed trzema jeszcze laty „Przekrój” starannie dozował przykłady podobne temu o gazetkach ściennych, miały one walor wyraziście agitacyjny i były na tle całości pisma natychmiast zauważalne. W roku 1951 przeciwnie – zauważalne stało się to, co w „Przekroju” nie było agitacją. I to właśnie w ilustrowanym tygodniku dla czytelnika wielkiego ideologicznego tekstu ówczesnej prasy – stawało się wytchnieniem. Ideologiczny komentarz do drukowanych materiałów był teraz wprawdzie w piśmie Eilego częstszy niż dawniej, lecz zazwyczaj dyskretnie ukryty – jak np. antyimperialistyczny komentarz do pełnego napięcia opowiadania *Cena strachu*, którego druk w omawianym przez nas numerze właśnie zakończono.

Obok ostatniego odcinka tego opowiadania ukazał się pierwszy odcinek *Pamiętników panicza* Kraszewskiego. Do nich jednak wrócimy w innym miejscu niniejszego tekstu.

Szkice

„Nowa Kultura” opublikowała w czterdziestym piątym numerze materiały z *Narady w sprawie twórczości artystycznej*, jaka odbyła się w Sali Rady Państwa 27–28 października. Głównym referentem był tam Jakub Berman, potem – jak już wiemy – przemawiał Paweł Hoffman, a całość obrad podsumował Włodzimierz Sokorski. Odrzucano wypaczenia realizmu socjalistycznego: schematyzm, lakiernictwo i przyczernianie. Najciekawszym jednak terminem teoretyczno-ideologicznym, jakiego – powołując się na najwyższy autorytet – na tej naradzie użyto – był termin „melodia”. Pochodzi on z listu do Demiana Biednego, napisanego przez Stalina w 1930 roku. Odpowiedni fragment tego listu (przedrukowanego potem w całości w grudniowej „Twórczości”) przytoczył w swym wystąpieniu Grzegorz Lasota.

Na czym polega istota waszych błędów? – zadaje sobie w liście do Biednego pytanie Stalin. – Polega ona na tym, że krytyka braków w życiu, obyczajach i stosunkach w ZSRR, krytyka, którą uprawiać się powinno, która jest nieodzowna, którą początkowo rozwijaliście dosyć trafnie i umiejętnie, poczęła was pasjonować ponad miarę, a kiedy daliście się jej porwać, poczęła przerastać w oszczerstwo na ZSRR... Oto, na czym polega sprawa, i oto, co decyduje o melodii tych felietonów. [NK, 3]

(Biedny – jak pisze autor jego biogramu – cudem uszedł z życiem popadłszy w niełaskę, lecz uszedł i umarł śmiercią naturalną w roku 1945). Właściwa melodia – a raczej granica, za którą właściwa melodia przechodzi w niewłaściwą – trudna była do wycucia czy rozpoznania. Każdy zresztą moment stających się dziejów, każdy dzień ujmowany w niepowtarzalnym, koniecznym dlań, dialektycznym splocie wymagał zapewne nieco innej melodii. Artysta winien był ją wyczuć i odnaleźć niechybnie. Aktualnie słuszną melodią powinien był też dysponować odbiorca.

Czy czytelnikowi gazety z 14 XI 1951 właściwą m e l o d i ę podsuwał reportaż o gromadzie Ruja? Zapewne tak, ukazywał przecież dokładnie to, o czym mówił Berman w referacie:

Tysiące, dziesiątki tysięcy naszych aktywistów robotniczych i chłopskich, twardych i nieustępliwych hartuje się w tej walce. Na wsi z pełnym poczuciem swojej misji, z całym zarem poczucia swojej słuszności przekonują oni opornych, przeciągają na swoją stronę chwiejnych, apelują do duszy chłopca–człowieka pracy przeciwko drugiej jego duszy – duszy posiadacza.⁹

Tak przecież apelowała, i to skutecznie, w tekście Hanny Hoffmanowej pełnomocniczka Genowefa Pętlicka do duszy byłego żołnierza spod Lenino, Dąbrowskiego.

I był w tym reportażu ten sam trudny optymizm, co w zakończeniu referatu tow. Bermana:

^{9/} Z przemówienia min. Jakuba Bermana, „Twórczość” 1951 nr 12, s. 12.

Łukasiewicz Jeden dzień w socrealizmie

Nie ma wątpliwości, że pokonamy wszystkie trudności, pokonamy skutki posuchy, wyjdziemy z tych trudności mocniejsi, bardziej zahartowani, bardziej ubojowieni. Nic nie daje większej radości niż udział w walce o kształtowanie nowej rzeczywistości, która rodzi nowego, lepszego człowieka. Nie wątpimy, że nasi pisarze i malarze, nasi muzycy, reżyserzy i artyści będą szli razem z nami po tej niełatwej, ale jedynej drodze, po tej jedynej drodze dla ludzi, którzy brzydzą się kłamstwem, którzy chcą tworzyć, kształtować coraz piękniejszego człowieka, coraz lepszego i szczęśliwszego życie człowieka na ziemi.¹⁰

Pisarz miał zagospodarować przestrzeń pomiędzy rozbitą gablotą, gdzie chybotła się nieaktualna fotografia byłego przodownika, który stał się bumelantem, a pięknym zakończeniem wystąpienia Bermana na Naradzie.

Słowo „ubojowieni” brzydko kojarzy się ze słowem „ubój”. To jednak zapewne podobieństwo niezamierzone. Po ostatnich słowach Bermana możliwe były już tylko burzliwe oklaski przechodzące w niemilknącą owację. Socrealizm często wiódł bowiem ku granicy krańcowego entuzjazmu i krańcowej nienawiści. Język ówczesnych szarych gazet nastawiony był na budzenie najgorętszych uczuć. Każda socjotechnika czuje się dobrze, operując wśród takich emocji.

Jednym z podstawowych postulatów realizmu socjalistycznego było wykorzystywanie pełnego doświadczenia życiowego. Berman przytoczył w swoim referacie definicję talentu artystycznego, daną przez Burowa w rozprawie *O gnoseologicznym charakterze uogólnienia artystycznego*. Cytowany Burow pisał: „W zdolności konkretnego (obrazowego) odtwarzania treści, pojęć, myśli ze świeżością i wyrazistością, właściwą wyobrażeniom, w powstawaniu skojarzeń, w których wykorzystuje się całe doświadczenie życiowe artysty, w tym właśnie mieści się najistotniejsza właściwość talentu artystycznego” (NK, 1). Jak prostodusznie domyślać się można, „całe doświadczenie życiowe” obejmuje doświadczenie z całego życia w jego przebiegu i z wszystkich jego stref. Berman wpieryw sparafrazował definicję Burowa, wprowadził do niej nowe określenia („znajomość życia”, „rozumienie życia”). Parafrazę zaś tę przedstawił jako wniosek.

A więc o pracy twórczej artysty decyduje znajomość życia, rozumienie życia, cały zasób doświadczenia życiowego artysty, pasja docierania do prawdy, postawa ideowa artysty i jego talent.

Życie nie oznacza tu już własnego życia artysty, nie tego dotyczy „znajomość” i „rozumienie”. W dalszym przekształceniu, które miało być kolejnym wnioskiem (świadczy o tym słówko „dlatego”), zaginęły już „cały zasób doświadczenia życiowego” i talent. „Życie” oznacza już tylko życie społeczno-gospodarcze: Plan Sześcioletni, skup i posuchę.

Dlatego też dla wyników pracy naszych pisarzy i artystów niemalże znaczenie mogłaby mieć dokładniejsza znajomość spraw i zagadnień, które są aktualne obecnie i w najbliższym okresie. Osią naszej walki jest wykonywanie planów gospodarczych i pokonywanie

^{10/} Tamże, s. 13.

Szkice

trudności z tym związanych, w szczególności zaś przełamywanie trudności aprowizacyjnych, które się teraz spiętrzyły. Nikt z nas nie chce abstrahować od tego, że szczególny splot czynników natury gospodarczej oraz klęska posuchy, która dotknęła nas w rozmiarach nieznanymi od dziesięcioleci, spowodowały u nas zakłócenie na rynku artykułów rolnych.¹¹

Nie ma słowa o wojnie koreańskiej, ale „szczególny splot czynników natury gospodarczej” ku temu ma kierować. A może nie ma kierować? „Splot” napomknięty zostaje, lecz nie jest analizowany. Ważni są ci, co na „splocie” żerują: kułak i agent imperializmu.

Wróg usiłuje żerować na tej sytuacji. Mamy w związku z tym rozzuchwalenie kułaka, próby „odkucia się” z jego strony, próbę wyparcia z rynku państwowego i spółdzielczego skupu i narzucenia swych kułacko-spekulanckich cen konsumentom.

Mamy próby imperialistycznych agentur dezorganizowania naszego rynku i zaopatrzenia miast poprzez okłamywanie, podburzanie, sianie paniki przy pomocy szczekaczek radiowych i szeptanej propagandy.¹²

Skupiłem się na tekście tow. Bermana, bo w hierarchii tekstów z narady jest najważniejszy. Jedyne on został określony jako referat, i choć Hoffman wypowiadał się dłużej i uczęniej, lecz wygłosił tylko przemówienie. Wysoko na tych tekstami był oczywiście fragment Pisma – list Stalina.

Na naradzie wiele też mówiono o polskiej tradycji literackiej (Kraszewski, Bliziński, Prus, o których była już mowa – mieścili się w przywoływanym wtedy korpusie tekstów). Hoffman wskazał trzy główne źródła: realizm krytyczny, polski realizm romantyczny („na co w swoich ostatnich pracach zwraca uwagę Kazimierz Wyka”) oraz realizm siemnastowieczny z jego optymistyczną afirmacją życia („Różni się ona od socjalistycznego realizmu i od realizmu krytycznego swą naiwną, uroczą, filozoficzną naiwnością”¹³).

Czytelnik po pracy, przejrzeniu czasopism, po trudach związanych z zaopatrzeniem (splotem sytuacji ekonomicznej i skutkami niesłychanej posuchy) szedł do Teatru Młodego Widza na *Rozbitków* – sztukę, w której realizm krytyczny łączył się z komediowym wzorcem uroczym naiwnego realizmu oświeceniowego.

Oglądał to „najwybitniejsze dzieło Blizińskiego, [...] w którym autor w sposób najpełniejszy dał wyraz krytycyzmowi wobec warstwy arystokratyczno-ziemiańskiej, ukazując jej rozkład, cechujące ją pasożytnictwo i nicość moralną”¹⁴. I ze zdumieniem zauważał, że rozkład, pasożytnictwo i nicość nie były ostateczne. Reprezentanci szlachecko-arystokratycznej warstwy umieli je przewyciężyć w za-

^{11/} Tamże, s. 11.

^{12/} Tamże.

^{13/} Z przemówienia P. Hoffmana, „Twórczość” 1951 nr 12, s. 17.

^{14/} *Mała kronika życia i twórczości Józefa Blizińskiego*, w: J. Bliziński *Rozbitki*. Komedia w 4 aktach, oprac. Z. Wasilewski, Warszawa 1951, s. 6.

Łukasiewicz Jeden dzień w socrealizmie

kończeniu sztuki. Zbankrutowany arystokrata, utracjusz, Szambelan Czarnomorski postanawia oszczędzać, jego syn decyduje się na pracę w domu komisowym rolników (nazwę wymyślił jego teść, by uniknąć brzydkich określeń „sklep” czy „handel”), córka Czarnomorskiego, Gabriela, wyjdzie za kochającego kuzyna, który też pracą własną dźwiga pouwłaszczeniowe i popowstaniowe ziemiaństwo z upadku. A wśród figur i figurek jedna tylko została potępiona dokładnie i ostatecznie, lecz właśnie ona nie jest arystokratą, tylko nowobogackim, dawnym dependentem adwokackim z Warszawy, panem Straszem – spekulantem, rozpustnikiem, korsarzem czyhającym na rozbitków. Tego samego dnia nasz bohater przeczytał był – jak wiemy – fragmenty *Lalki* i *Pamiętników panicza*, oswoił się więc z atmosferą ostatniego ćwierćwiecza dziewiętnastego stulecia. Pamiętali je dobrze starcy chodzący ulicami ówczesnego Wrocławia. Opisanie przez Kraszewskiego mieszkanie hrabiego Sylwestra, wysadzonego z siodła po powstaniu styczniowym, niepokojąco przypominało ówczesne krakowskie czy poznańskie mieszkania „bezetów”...

Zdumiałem się niezmiernie, gdy mi drugie piętro niepocznego domu wskazano. Staruszek chory jest na podagrę [...] tak fatalnie zardzewiał. Jedna mu tylko francuszczyzna została i wspomnienie dworu Ludwika Filipa. Mój Boże! Co taki kraj i otoczenie mogą uczynić z człowieka nawet najprzyzwoitszego! Znalazłem go wśród takiego brudu i pyłu, w takim opuszczeniu, że mi się prawie żal zrobiło. [P, 5]

Przed kilkudziesięciu laty nastąpiło więc jedno – choć oczywiście nie pierwsze – z politycznych i społecznych trzęsień ziemi, które potem następowały, coraz to potężniej. Wrocław w 1951, tak jak i jego nowi mieszkańcy, był miastem po wielu różnych trzęsieniach: materialnym, społecznym, duchowym, można było doszukać się pewnych analogii.

Nie wszystko jednak, co znaleźć było można w owych dawnych utworach, dało się przypasować do terażniejszości, prawdę powiedziawszy, można było przypasować niewiele. Widz idąc w listopadową noc ciemnymi ulicami, wśród gruzów – mógł oczywiście cieszyć się, że nie ma już arystokracji z jej rozkładem, pasożytnictwem i nicością moralną, lecz główne pozytywne przesłanie sztuki, jakie padło ze sceny, nie mogło go dotyczyć.

Pieniądz jest wielką potęgą – powiadał w czwartym akcie Szambelan – dając człowiekowi możliwość utrzymania się na wysokości swoich zasad, i zaczynam wierzyć, że największą ze zbrodni, źródłem wszystkich innych jest trwonienie go bezmyślnie, bo tylko wyjątkowe natury zachowują godność w niedostatku.¹⁵

Wracający z teatru z melancholijną dumą pomyślał o sobie, że jest wyjątkowym, gdyż wolałby swej stopy życiowej nie nazywać dostatkami. Utracjuszostwo mu nie groziło i w dającej się przewidzieć perspektywie czasowej nie spodziewał się zna-

^{15/} J. Bliziński *Rozbitki*, s. 193.

Szkice

leżę w warunkach, w których mogłoby mu zagrozić. Realizm krytyczny dotyczył więc – innego świata.

14 listopada 1951 roku nie dane mu było jednak zetknąć się ani z realizmem romantycznym, ani oświeceniowym.

* * *

Był to zwykły dzień listopadowy, przeżywany pod ciśnieniem propagandy. Przestrzeń propagandy wymagała orientacji w tym, co jest i co będzie. Jak donosiły tego dnia dzienniki – pod przewodnictwem prezydenta Bieruta dopiero powstawał projekt konstytucji, w którym miała się znaleźć nazwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nadal mieliśmy jeszcze Rzeczpospolitą Polską. Pisano wprawdzie „ludowe Wojsko Polskie”, lecz przymiotnik „ludowe” małą literą nie wchodził w skład nazwy. Ówczesny „realny socjalizm” – niech nazwa ta padnie – był zaledwie pierwszym etapem, początkiem nigdy nie dokończonej opowieści.

Niedawno minęły obchody kolejnej rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Nadal chodziło o uchwycenie głównego ogniwa w polityce międzynarodowej i wewnętrznej, generującego właściwe zrozumienie tego właśnie niepowtarzalnego dnia. Trzeba było znać hierarchię godności, urzędów, gatunków wypowiedzi oficjalnych i hierarchię czasopism. Ta wiedza pozwalała poruszać się w ideologicznej przestrzeni, odzwierciedlanej w różnych obszernych, złożonych tekstach, np. w numerze gazety czy zeszytzie miesięcznika. Hierarchia ważności i autorytatywności była w nich ta sama. Dzień w socrealizmie był z nią zgodny, musiał być zgodny.

Czy możliwy był dzień poza matrycą, poza paradygmatem? Oczywiście możliwy, ale byłby to dzień w nierzeczywistości. Stwierdzenie takie, pozornie identyczne z tezą, jaką socrealizm stosował do siebie samego – ma jednak tu sens odmienny. Tekstu socrealizmu nie można było ignorować. Włączał on w swój obszar rzeczywistych ludzi, wprowadzając ich do mniej lub bardziej ważnych tekstów. Człowiek nazwany w socrealistycznym tekście – już się w nim znajdował. Mógł zostać wymieniony w referacie na plenum KC Partii, ale mógł też zostać wymieniony w gazecie ściennej – przez owo wymienienie znajdował się na terenie socrealizmu. Musiał się tam zachowywać. Konkretny, acz poddany idealizacji, typowy, a nie przeciętny. O, nie typowy w ogóle! W realizmie kierującym się marksistowsko-leninowską busolą takiego „człowieka typowego”, jakiegoś abstrakcyjnego „człowieka wiecznego” nie było i być nie mogło. Człowiek miał być indywidualny, by mógł zostać zinterpretowany socjologicznie. Jak pisała Melania Kierczyńska, chodziło o „społeczne uwarunkowania najsubtelniejszych nawet reakcji i impulsów”¹⁶.

* * *

14 listopada 1951 r. był dniem normalnym. (Wybrałem go niemal losowo. Przeglądając rocznik „Słowa Polskiego” znalazłem tekst o pożądanych motywach uczenia się rosyjskiego. Pomyślałem: szkoda by było, gdybym go nie wykorzystał).

^{16/} M. Kierczyńska *Spór o realizm. Szkice krytyczne*, Warszawa 1951, s. 191.

Ale nie był to dzień powtarzalny. Ideologia pozostawała ta sama, zmieniały się jednak akcenty. Każdy dzień był nieco inaczej zorientowany na mapie politycznej, ideologicznej, ekonomicznej. I następny dzień, 15 listopada będzie inaczej zorientowany. CZŁOWIEK CHCĄCY ŻYĆ W PARADYGMACIE, ZGODNIE Z PARADYGMATEM, MUSIAŁ ZNAĆ JEGO AKTUALNY STAN, a ten się zmieniał. Mogły zmieniać się główne ogniwa, polityczna ocena osób, podział na naszych i obcych. Wszystko to stale modyfikowało paradygmat.

Czy człowiek (artysta), podległy tak wielu regułom i reglamentacji mógł być twórczy? Oczywiście mógł. Im silniejsze są bowiem rygory, tym większej trzeba pomysłowości, by wśród nich się poruszać. Tego Paweł Hoffman oczekiwał od artystów – dokładnego poznania rygorów, pełnego zrozumienia aktualnej konwencji, szczególnej pomysłowości w twórczym jej wykorzystaniu, szczególnego talentu. Poznać rygory i poruszać się z talentem – czyż dla rzeczywistych artystów było to niewykonalne?

Ci, którzy rygorów nie poznali, nie zrozumieli – uprawiali schematyzm. Ci, którzy stosowali się do nich bez serca, bezdusznie, rzemieślniczo – też popadali w schemat. Walka ze schematyzmem – temat rozwijany podczas Narady – była doktrynalnie słuszna. Schematyzm bowiem bierze się z dwóch źródeł. Po pierwsze – z emocjonalnej postawy.

Bo artysta – wyjaśniał Hoffman – może nie być zakłamany poznawczo, to znaczy może rozumieć, że ustrój burżuazyjny jest nieuchronnie skazany na zagładę, ale w gruncie rzeczy żałować dawnych czasów, w których wyrósł. [...] jednym z najjaskrawszych objawów takiej postawy będzie w dziele sztuki martwy schematyzm i martwa deklaratywność.

Ale można i odwrotnie: solidaryzować się uczuciowo, a nie dorastać poznawczo. „Jeżeli przy najgłębszej szczerości emocjonalnej nie ma poznawczej rzetelności, wynika z tego znowu – martwy schematyzm i martwa deklaratywność”¹⁷.

Walka ze schematyzmem należała tedy do samej istoty socrealizmu, właściwie, dialektycznie prowadzona, miała go wzmacniać a nie rozkładać (choć oczywiście można było dyskutować, co jest, a co nie jest przejawem schematyzmu). Znany artykuł Flaszena, opublikowany w półtora miesiąca później mieścił się bardzo dobrze w regułach wyłożonych podczas Narady. (Przeniesiony do *Cyrografu* będzie odmiennie i słusznie odczytywany – jako wyraz buntu).

Nasz czytelnik nie był pracownikiem literackiego frontu. Jego miejsce w obrzędzie było inne – świadomego odbiorcy. Partii, która tak dbała o rozwój czytelnictwa, bardzo zależało na tej jego roli – jednej z paru jednocześnie pełnionych. Ról tych nie można było jasno rozgraniczyć, wiązały się ze sobą w dialektycznym splocie. „Instrumentalny styl odbioru – słusznie stwierdził Wojciech Tomasik – zakładał w obrębie poetyki socrealistycznej, że czytelnik po ukończeniu lektury zaświadczy ją w sferze zachowaniowej [...]. W pewnym sensie można więc mówić o perlukucyjności powieści socrealistycznej i traktować to jako istotną cechę jej pragmatyki, okre-

17/ Z przemówienia P. Hoffmana... s. 22.

ślającą dobitnie sposób obchodzenia się z tekstem¹⁸. Utwory literackie i inne teksty ideologiczne wpływały więc na zachowania życiowe, wkraczały w życie. Ale można też spojrzeć inaczej: to inne zachowania podporządkowały się tekstowi ideologicznemu, agitacyjno-literackiemu, w istocie obrzędowemu. Stawały się częścią obrzędowej fabuły. Następowala swoista fikcjonalizacja *praxis*.

Socrealizm był spójnym zespołem obrzędów generowanych przez ideologię marksizmu-leninizmu-stalinizmu, kierowanych przez Partię pośredniczącą pomiędzy człowiekiem a rzeczywistością społeczną. Spójność owa została założona. Dla przyjmujących to założenie oczywista była możliwość twórczej działalności w ramach socrealizmu, gdyż rygorystyczna konwencja niechybnie sprzyja osiągnięciu mistrzostwa. Poprzez prasę z jednego dnia zetknąć się można było jednak bezpośrednio lub – częściej – pośrednio z różnymi tekstami-obrzędami, nie tylko z ideologicznie czystymi, lecz także ze sprawiającymi ideologiczny kłopot. Podzielić je można na trzy grupy:

a) obrzędy swoiste dla socrealizmu, takie jak narada, zebranie, masówka, również „gazeta nowego typu”, „Trybuna Ludu”, a także „Gazeta Robotnicza” i „Słowo Polskie”;

b) obrzędy nieswoiste dla socrealizmu, wykorzystywane jako poszerzanie tradycji, mniej lub bardziej przez niego absorbowane, a więc klasyka w teatrze czy prasa genetycznie starego typu, lecz zdolna do dostatecznych na danym etapie przekształceń („Przekrój”);

c) obrzędy z gruntu obce, lecz tymczasem tolerowane i w miarę możliwości kontrolowane: liturgia katolicka (z którą zetknęliśmy się pośrednio we wzmiankowanym tu artykule Mroczkowskiego) czy sam „Tygodnik Powszechny”, doktrynalnie zdecydowanie wrogi, politycznie neutralizowany i nawet paroma materiałami – jak nota o Apelu Pokoju czy jak sprawozdanie z Kongresu Chirurgów – służący „naszej sprawie”.

W cytowanych tekstach znajduje się wiele prawdziwych nazwisk zwykłych ludzi. W wielkim tekście socrealizmu – jak przed okiem Stwórcy – nikt nie jest anonimowy. W obrzęd wchodzi się z własnym imieniem i nazwiskiem, z dokładnie wypełnioną ankietą personalną, z wyraźnym życiorysem, w którym najważniejsze dane są dokładnie zaznaczone. Wchodząc tak do obrzędu, spotykamy się z innymi jego uczestnikami, niosącymi własne wypełnione ankiety.

Mamy wyznaczoną rolę albo sami ją sobie wyznaczamy – bo i tak bywa. Musimy się umieścić na skali pięciu ról zasadniczych: 1) „naszego przywódcy”, 2) uczestnika w „my” – to znaczy pozytywnego członka kolektywu, 3) wahającego się, 4) wroga. Role te są komplementarne. Muszą zostać obsadzone, by obrzęd mógł zaistnieć. Nie zawsze pełniący te role biorą bezpośredni udział w akcji, ale zawsze są obecni poza sceną. Ta ich obecność gwarantuje kompletność obrzędu, to, iż odpowiada on strukturze ludzkiego świata. Tak więc kolegium w Legnicy (na którym

^{18/} W. Tomasiak *Polska powieść tendencyjna 1949–1955. Problemy perswazji literackiej*, Wrocław 1988, s. 173–174.

Łukasiewicz Jeden dzień w socrealizmie

skazano Dąbrowskiego), gdzie ludowa władza spotykała się z wrogiem w akcie represji – bez innych uczestników czy świadków – nie było obrzędem, tylko karą. Obrzędem są dopiero pokazowe procesy, gdzie role zostają zróżnicowane, a środki przekazu wzbogacone (radio z niezapomnianym głosem Wandy Odolskiej, prasa). Obrzędem stało się zebranie w gromadzie Ruja, spełniające w poetyce socrealizmu podobną rolę, jaką spełnia rozprawa sądowa w filmach amerykańskich, gdzie chodzi o to, by skłonić przysięgłych do uznania słusznej sprawy, która mimo przeszkód zatriumfuje.

Obrzędy w socrealizmie wzajem się zapośredniczają, stanowią mediujące filtry; poza strukturą obrzędów socrealizm przestawał istnieć. Utwór socrealistyczny wyjęty z takiej obrzędowości to jak ryba wyjęta z wody, natychmiast zdycha i jest niejadalny.

Wstępujący do socrealizmu, biorący w nim udział wchodził więc ze swoją rolą. Rola ta albo była nakazana zgodnie z aktualnymi potrzebami mistagoga lub reżysera, albo też była zdeterminowana życiorysem, pochodzeniem klasowym, działalnością za sanacji i w czasie okupacji, stosunkiem do Mikołajczyka lub odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego, posiadaniem krewnych za granicą czy we wrogich kręgach klerykałnych itd. Życiorys ten oczywiście nie był równoznaczny z życiem ludzkim, z przeżyciami, doświadczeniami itd. Był to – powtórzmy – życiorys zredukowany do ankiety personalnej. To, co nie było w nim odpowiedziami na bardzo szczegółowe, ale obejmujące tylko pewien zakres ludzkiego życia, pytania ankiety – nie wchodziło do obrzędu. W ramach obrzędu nie tyle przestawało być ważne, ile przestawało istnieć. Kto o tym zapominał – wypadał z roli, psuł uroczystość, musiał zostać skarcony lub usunięty.

W większej więc swej części realne życie tych ludzi ujęte tak w diachronii całego swego przebiegu – od urodzenia po 14 listopada 1951, jak i synchronicznie – we wszystkich swoich zakresach w tym jednym dniu 14 listopada 1951 – nie wchodziło do socrealizmu. Podobnie nie wchodził pełen świat każdego (w tym w pewnym stopniu także i socrealistycznego) dzieła sztuki. Socrealizm miał silne filtry, działające bezwzględnie.

To, co nie wchodziło do obrzędu, pozostawało niezrozumiałe. A jeśli wcześniej było zrozumiałe, miało stać się niezrozumiałe. Niezrozumiała więc w ramach nowego obrzędu była katolicka liturgia (jeśli nie została zredukowana do funkcji „opium dla ludu”; nawet zredukowanie jej do rodzaju baletu czy pantomimy – tak m.in. traktował liturgię liturgii Kotarbiński – nie wchodziło w rachubę). Niezrozumiały był psychologizm, jeśli nie był zredukowany do funkcji usprawiedliwienia zła: pomiędzy wrogiem klasowym a złem stał znak równości. „Można – mówił w swym referacie Hoffman – i trzeba przedstawiać wroga tak, żeby był człowiekiem, a nie liczmanem, ale na nic nie przydadzą nam się głębokie jego przeżycia, cała ta «psychologia głębinowa», polegająca na rozgrzebywaniu jego skomplikowanej, labiryntowej jaźni”¹⁹.

^{19/} Z przemówienia P. Hoffmana, s. 21.

Szkice

Ale ten rygoryzm socrealizmu jako zamkniętego obrzędu był równoważony „realnym socrealizmem”. Określenie to odnosi się do innego aspektu życia publicznego w tamtym czasie, gdy jego regulatorem był nie obrzęd, lecz polityka kulturalna. Dopuszczała ona w mniejszym lub większym stopniu także teksty (wśród nich utwory literackie), które socrealistycznym obrzędem nie były ani nie komunikowały się z nim. Polityka kulturalna, siłą rzeczy krytyczna i cyniczna, była w pewnym sensie metatekstem obrzędu, gdyż z wewnątrz obrzędu nie można go krytycznie programować. Nawet jeśli bowiem uważała się za córkę ideologii, musiała mieć do niej właściwy dystans.

Ale jeśli człowiek mógł – przy dokonaniu pewnych redukcji – w całości spełniać się w obrzędzie, to nie mógł w „realnym socrealizmie” – produkcie polityki kulturalnej, tu musiał czuć się okaleczonym. I dlatego nasz czytelnik w dniu 14 listopada 1951, tak jak i w innych dniach, konsumujący masę politycznych tekstów, był od polityki w jej nieobrzędowej, zgodnej z jej naturą postaci – odgradzany, przed nią chroniony.

Chroniony i odgradzany, lecz nigdy nie ochroniony i nie odgradzony do końca. Klosz obrzędu nie był szczelny, tak samo jak szczelna nie była żelazna kurtyna. Dla obserwatora z wewnątrz obrzędu w życiu ludzkim to, co wykracza poza szczegółowe dane ankiety personalnej – przedstawia się jako rój nieistotnych szczegółów albo niepojęty chaos.

Konstruując w tym szkicu obraz świata na podstawie paradygmatu gazety wchodzę do wnętrza tekstu obrzędowego i tam nie napotykam osoby. Przeto moja opowieść o jednym dniu w socrealizmie nie może się udać: brak jej bohatera, brak osobowego, percypującego w tamtym czasie podmiotu – z jego własną przeszłością, pamięcią, emocjami. Pomiędzy nim a socrealistycznym obrzędem jest sprzeczność – odsłaniająca fałsz nie indywidualnej biografii, jak chciał tamten system, lecz właśnie fałsz obrzędowego systemu.